

Fred. M. Withe.

# Szkarłatna orchidea.

Przekład J. S.

1

I.

Zapadający zmierzch wiosennego dnia rzucał cienie na oranżeryę sir Clemensa Frobishera, jednego z najbogatszych parweniuszów stolicy Anglii. Tylko przytłumiony gwar ulicy przedstawiał się do tej cichej, zamkniętej cieplarni, gdzie z łacie wschodnim przepychem nagromadzone były najcudniejsze orchidee niebieskie, czerwone, żółte i białe.

Właściciel tej wspaniałej cieplarni majątek włożył na jej wyposażenie. Cały Londyn mówił o tym jedynym w swoim rodzaju zbiorze orchidei, a zwiędziałego zachwycano zarówno bogactwem jak i wspaniałością kwiatów, różnorodnością kształtów i barw; każdy też wiedział, że sir Frobisher przebaczyłby raczej osobistą obelgę, albo oszustwo, aniżeli, gdyby ktoś ważył się zerwać jeden z drogocennych kwiatów.

Pan Frobisher spędzał wszystkie wolne chwile w cieplarni; dziś też siedział na swym zwykłym miejscu pod grupą wspaniałych orchidei. Obok, na małym, marmurowym stoliku stała szklanka wina reńskiego, gatunku pośledniego; takiegoż gatunku był tytoń, który palił w zwykłej fajce glinianej. Były to zapewne przyzwyczajenia milionera jeszcze z czasów, kiedy środki nie pozwalały mu na większe wydatki. Natomiast garniur pochodził bezsprzecznie z pracowni pierwszorzędnej i był bez zarzutu.

Sir Frobisher był to człowiek małego wzrostu, jednak silnie zbudowany, o głowie tysej, gładkiej i lśniącej, jak kula bilardowa, o szarych, zimnych oczach, których spojrzenie miało siłę hipnotyczną, o dziwnie krótkim nosie, wąskich ustach — koło których igrał grymas to sarkastyczny, to okrutny — oto zewnętrzny wygląd człowieka, który z ubóstwa doszedł do bogactwa. Zajmował też miejsce jako urzędnik dyplomatyczny, ale wnet został usunięty, a w tajemniczeni twierdzą, że stało się to z powodu podejrzanego udziału w jakichś interesach akcyjnych. Wskutek tego przez parę lat był bojkotowany w towarzystwie i dopiero po ożenieniu się z kobietą z towarzystwa i nabyciu wspaniałego pałacu w Piccadilly, otwarły się dlań podwoje towarzyskie.

Atmosfera cieplarni, przesycona ciepłem i wilgocią, usposobiła sir Clemensa do snu, mimo, że snopy elektrycznego światła zalewały przestrzeń cieplarni. Właśnie myślał o udaniu się na spoczynek, kiedy usłyszał niecierpliwe dzwonięcie do bramy. Wnet ukazał się służący z zapytaniem, czy pan przyjmuje jeszcze gości.

— Jeśli to zwykły znajomy, to oczywiście nie, jeśliby to zaś był jeden z mych przyjaciół-kompanionów, sprowadź go tutaj i służbie każ pójść spać.

Hasid udał się do Hallu i wprowadził do domu człowieka, który niósł w ręku długą, białą tubę papierową tak ostrożnie, jak gdyby to był przedmiot niezmiernie kruchy.

— Paweł Lopez! — zameldował służący.

Przybysz skłonił się z dziwnym uśmiechem. Był to mały mężczyzna o czarnej brodzie, o ruchach nerwowych i niespokojnych oczach, których lekceważące spojrzenie spoczęło na twarzy sir Frobishera.

— Pewnie mnie pan teraz nie oczekiwał? — zapytał wyczekująco.

— Nie! — odparł gospodarz sarkastycznie — Sądziłem, że już wiesz, mój przyjacielu. Przypominasz pan sobie nasze ostatnie spotkanie? Było to...

Urwał, oparłszy się wygodnie w fotelu, na poły ukryty wśród zwisających pęków orchidei, podobnych do lśniących barwami motyli.

W niemym zachwycie napawał się Paweł Lopez widokiem kwiatów.

— Szatan dobrze zaopatrzył swego przyjaciela! — rzekł wkońcu z drwiącym uśmiechem.

— Ach, jakież pan zazdrośny! — odparł gospodarz — Cóż to pan trzyma w ręku?

— Orchideę. Za pewną cenę mogę ją panu zostawić.

— Ileż pan żąda?

Lopez nie zaraz odpowiedział. Odwijając ostrożnie papier, wydobyl długą, zeschniętą łodygę, na której zwisało kilka zwiędłych pączków kwiatu. Korzenie przybite były zardzewiałymi gwoździami do korka, a całość wyglądała tak, jak gdyby ktoś podniósł to ze śmietnika.

Frobisher patrzył na hiszpana z pod powiek na wpół przymkniętych.

— Z pewnością znów omyłka! — odezwał się wkońcu na pozór obojętnie — Jakżeż często sam już polowałem na orla, a złowiłem tylko szpaka! Zaprawdę, od lat całych nie udało mi się znaleźć nowości. Czyż moje ulubione kwiaty nigdy nie dostaną jakiej siostrzyczki?

Pieszczotliwie przesunął ręką po zwisających kępą kwiatów, podczas gdy Lopez z powagą wyciągnął z kieszeni sznur, który rozciągnął wzdłuż ściany. Przymocował doń suchą łodygę, którą rozwinął i rozciągnął tak, że z bocznymi gałęziami tworzyła długość czterdzieści stóp. Potem otworzył kurek pieca i para wnet białą chmurą napełniła przestrzeń cieplarni.

— A teraz pan coś zobaczy — rzekł Lopez — coś, za co mnie pan z pewnością uściska.

Na zwiędłych pękach krzewu nara poczęła się skraplać, a wilgoć wyprostowywała sznur jak strunę. Frobisher zauważył poprzez mgłę pary, jak zeschnięty krzew poczęł formalnie zakwitać.

— Laska Arona! — szeptał — Za prawdziwą dalbym bez namysłu stos złota.

— A jeszcze więcej za to, co panu teraz pokażę! — wtrącił Lopez — Oto, spojrz pan!

Zakręcił kurek, obłok pary szybko się rozszedł.

Jakiż cud roztoczył się teraz przed zdumionym wzrokiem obojdwóch mężczyzn. Sucha, zwiędła łodyga ukazała się żywą rośliną koloru soczysto-zielonego, okrytą kiścią długą, lśniąca kwiatów białych, różowo obramowanych, zakończonych na pręcikach całą masą ledwie dostrzegalnych malutkich, purpurowych kwiatuszków, czyniących wrażenie, jakby rój motyli siedł na białej lilii. Niepodobna wyobrazić sobie coś bardziej niepokalanego, a zarazem oszałamiająco pięknego. Z okrzykiem radości zerwał się sir Frobisher z miejsca. Drżał ze wzruszenia, krople potu okryły mu czoło.

— Szkarłatna orchidea! — zawołał zachrypniętym głosem — Hasidzie, to szkarłatna orchidea!

Armeńczyk przybiegł z sąsiedniego pokoju; i on wykrzyknął, ale to był okrzyk grozy. Jego twarz brunatna stała się w jednej chwili zieloną i takim błędnym wzrokiem patrzył na cudne kwiaty, jakby nie kwiaty, ale całe gniazdo jadowitych węzów ujrzał przed sobą.

— Porąbać, zniszczyć ją! — wołał — Wrzucić ją w ogień, a popiół rozrzucić na cztery strony świata! Zniszczcie ją, panie! Ten człowiek jest obłąkany, on zapomniał o straszliwej nocy w Stambule!

— Czy mam ci na głowę wylać kubel zimnej wody, ty głupcze zabobonny? — roześmiał się Frobisher — Przecież przygoda w Stambule była tylko przypadkiem. A więc istniała jeszcze jedna szkarłatna prócz mojej przepadłej? Ach, to skarb, to królowa orchidei! Gdzieżeś ją pan znalazł, panie Lopez?

— Pochodzi ona z małego zbioru w okolicy Londynu.

— Ach, ten ga'gan! — wymyślał Frobisher — Ma szkarłatną orchideę i chowa ją dla siebie! Ta, którą wówczas straciłem, była poprostu zielskiem w porównaniu z tą. Wymień pan sumę, jaką żadasz, Lopez, a gdyby była zbyt wygórowana, to poprostu ją i Hasid zamordujemy pana i przysięgniemy, że pan był włamywaczem, któregośmy zabili w obronie własnej.

Lopez roześmiał się cicho, śmiechem twarzym, nieprzyjemnym.

— Pewnie, że zrobiłby to pan bez skrupułów — odrzekł niedbale — ale nie zachodzi potrzeba tego czynu, albowiem właściciel kwiatu nie żyje, a ja żądam nie wiele.

— Takiś skromny, przyjacielu? No mów pan!

— Pan tylko uczyni fałszywe zeznanie i trzymać się go będzie wciąż jednakowo. Jestem obecnie niby w niebezpieczeństwie i mógłbym wisieć. Jeśli trzeba będzie, musi pan oświadczyć, że byłem u pana wczoraj wieczorem o godzinie dziewiątej i że siedziałem do dwunastej. Hasid musi to samo stwierdzić.

— Hasid pamięta i zapomina wedle moich

rozkazów — rzekł Frobisher, akcentując słowa z naciskiem.

Armeńczyk przytaknął mechanicznie. Wzrok jego wciąż jeszcze był pełen przerażenia ulkwionego w kwiaty, słyszał i rozumiał tylko instynktownie.

— Więc wczoraj wieczorem byłem w domu — ciągnął Frobisher w tym samym tonie — a pan, panie Pawle odwiedziłeś mnie o oznaczonej godzinie. Czy tak, Hasidzie?

— Na duszę mego ojca, tak — potwierdził Armeńczyk drżącym głosem. — Spalcie ją, zniszczcie ją! To, co mówi mój pan, jest prawdą. Zniszczcie, spalcie ją!

— Chłopak zwaryował — roześmiał się Frobisher — ale do jutra odzyska rozum. Weź pan drabinę, panie Lopez i przytwierdź pan nowy mój skarb pod dachem, ot tam, na tym haku. Jutro królowa otrzyma własny przewód pary. Moja ty cudna Afrodyto, dobrze ci będzie u mnie!

Ręką przesłał orchidei całusa.

— Czyż nie wygląda teraz jak planeta na niebie? Lopez, jestem panu istotnie wdzięczny. Przyjdź pan do mnie, gdy będę spokojniejszy, wynagrodzę pana po królewsku. Siadaj pan, każę panu podać najlepszego wina.

— Dziś nie mogę zostać — odparł Hiszpan — mam jeszcze pewne interesy do załatwienia, a wówczas zwykłem nie palić ani pić przedtem. Dobranoc, książę wszystkich nędzników, śnij pan przyjemnie!

Oddalił się, przeprowadzony przez Hasida. Frobisher spoglądał za nim z miną zadowoloną i nie czuł się wcale obrażonym drwiącymi słowy pożegnania, był bowiem zbyt szczęśliwym z posiadania nowego skarbu i długo jeszcze siedział w fotelu, wpatrzony z zachwytem w szkarłatną orchideę.

Nawet kiedy Hasid wszedł z zapwaniem, czy przyjmie jeszcze hrabiego Lefroy i jego sekretarza Manfreda, polecił ich poprosić jutro na obiad.

— Dziś chcę sam pozostać z cudną moją szkarłatną orchideą, Hasidzie. Tej rozkoszy niechaj mi dziś nic nie zmąci!

II.

Była to pora drugiego śniadania. Frobisher siedział w swoim pokoju, snując plany i obmyślając środki, którymi by mógł osiągnąć podstępna drogą rzeczy, jakie mógł być uczciwie zyskać. Ale dla niego tylko to miało powab, co zawdzięczał swej chyłności i wynajdywał coraz to nowe sposoby do oszukiwania bliźnich, aby się ich kosztem wzbogacać.

Odgłos lekkich kroków zbudził go z zadumy. Przed nim stała młoda, smukła dziewczyna, o lśniących, ciemnych włosach i ciemno-niebieskich oczach.

— Chciałabym zabrać te kwiaty, które mi, pan przyrzekł, panie Klemensie — odezwała się dźwięcznym głosem.

— Nazywaj mnie wujem, a dam ci całą oranżeryę — odparł milioner, spoglądając z podziwem na dziewczynę. — Wskutek ożenienia stałem się przecież twoim wujem, a prócz tego jestem twym opiekunem. Jakżeż cudnie dziś wyglądasz! Istotnie, jesteś najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek widziałem!

Angela Lyne słowa te przyjęła z największą obojętnością. O ile kochała ciotkę swą, lady Frobisher, o tyle nienawidziła jej męża, u którego do tej pory nie odkryła ani jednego dobrego rysu.

— Proszę, daj mi pan te kwiaty — rzekła niecierpliwie — już jest późno. Jestem proszona na obiad, a przedtem jeszcze na koncert dobroczynny u lady Marchgrave, późno więc wrócę do domu. Hasid otworzy mi bramę.

— Zabierz lepiej klucz od bramy — zauważył i powstał, by własnoręcznie przypiąć do sukni Angeli przygotowane kwiaty. — Jeśli będziesz miała czas, pokażę ci orchideę, która nawet twój podziw wzbudzi, teraz nie, bowiem ta królowa kwiatów musi być podziwiana z całym uznaniem. Tak sądzę, że będziesz się dziś bardzo podobała w towarzystwie.

Co się tyczy kwiatów, nikt nie mógł odmówić artystycznego znanstwa milionerowi. Białe, żółte obramowane kwiaty orchidei cudnie wyglądały przy sukni Angeli i były tematem rozmów licznie zgromadzonych gości u lady Marchgrave.

(Ciąg dalszy nastąpi).